



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGA WĘDKA.

Warszawa uchroniła się jakoś dotąd dość szczęśliwie od *knajpiarstwa*, to jest od zamiłowania przepędzania czasu w cukierniach i restauracjach przy piwie, który to zwyczaj stał się drugą naturą mieszkańców miast zagranicznych i objął całą niemal Galicyą. Do nas jakoś ta obrzydliwość wcisnąć się nie mogła, a choć piwiarnie nie narzekają na brak amatorów napoju Gambrinusa, bądź co bądź, znaczniejsza część inteligencji woli wieczornie godziny, te godziny wytechnienia i spoczynku po całodzienniej pracy, przepędzać z rodziną lub na prywatnych zebraniach w domach, gdzie się zbiera towarzystwo płci obojga. Powoli jednak, lecz w postępowym wciąż ruchu, zmienia się charakter tych zebrań; nie pociąga nas już samo towarzystwo, chęć zwykłej gawędki o tem lub owem, potrzeba dowiedzenia się czegoś, rzucenia jakiejś myśli nowej i głębszego zastanowienia się nad nią, pragnienie bliższego, wzajemnego poznania się, — nie, jest inny magnes, który może nieobliczone szkody przynieść. Tym magnesem są wspomniane już nieraz na tem miejscu — gry kartowe.

Rozrywka owa, dawniej była tylko udziałem mężczyzn. Ale, że złe jest zaraźliwe, potrafiła się więc łatwo i na innym zaszcześcić gruncie. Obecnie, niedająca się w niczem mężczyznom wyprzedzać płć słabsza, coraz częściej pozwala się widywać przy zielonych stolikach — i to nie staruszki, które już znużył starsowiecki passyans lub maryasz. Poważne matrony wintują i zachęcają do tej rozrywki młodsze pokolenie płci własnej. Drobne paluszki panien i młodych mężatek zgrabnym ru-

chem (bo tego im odmówić nie może i wróg zapamiętały) rozwijają piękny wachlarz z kart, niejedne nawet usta koralowe ćmią papierosy i wprowadzają w ambaras przyszłe pokolenie wieszczów, chcących opiewać nadobne wdzięki dziewczę. Mówiono mi już nawet, że pewien rymotwórca napisał wiersz do swej bogdanki, której o swej miłości szepnął przy zielonym stoliku. Nie będzie niedyskrecyą zdradzić, nie nazwisko autora, lecz utwor jego muzy. Oto on jest:

Chcę opiewać wdzięki twoje,  
Twego głosu cudne brzmienie,  
Lecz, przysięgam na sumienie,  
Że strun dawnych tknąć się boję —  
Bo zmieniły się już czasy,  
Inna wieszczów ma być mowa.  
Damo moja ty karowa!  
Twoje oczy — to dwa asy;  
Usta twoje... Szukam rymu  
Z pewnem drżeniem, z pewnym strachem,  
Bo te usta pełne dymu  
Tytuniowym tchną zapachem...  
Ach! w godzinę cichą, szarą  
Gdy ich dotknę, mnie się zdaje,  
Żem hamburskie wziął cygaro,  
Lub wypalił ze trzy faje...  
Szepnij „kocham!“ czar zapachu  
W słów przemieni się karmelki  
I pomału i pomału,  
Uczuć złoży się szlem wielki.

Ładny erotyk — nie prawda?

Ale — ale dlaczego już po raz drugi piszę o tym nieszczęśliwym wincie, który, jak mocarz jaki, czyni nowe zabory i drzwi sobie z nawoływań przeróżnych a wszędzie tak jest mile witany?

Dlaczego?

Ach! ostatnia pogadanka moja na ten temat poruszyła nieco krwi niewiast niektórych. Mówiłem w niej, nie na żarty, że właśnie kobiety powinny wpłynąć na małżonków swoich i z całą miłością przywiązania do nich, wytrącić z ich rąk tę niedorzeczną, a nieraz kosztującą drogą rozrywkę. Tymczasem...

Ach! tymczasem znalazłem się w jednym salo nie, gdzie kilka pań, bardzo młodych i bardzo powabnych grało sobie w przesiadanego wineika. Grały — tak! cóż robić? Ale, na moje utrapienie, były pod świeżem wrażeniem tylko co odczytanej a wspomnianej powyżej pogadanki. Lecz dotądne wrażenie nie było dodatniej natury — oburżono się na mnie, żem śmiał tak lekceważąco o wincie mówić i żony przeciwko mężom stawiać.

— To niegodnie, to niemoralnie, bezbożnie nawet! Dlaczego panowie mężowie nie mają się bawić? Dlaczego im odmawiać tej malutkiej przyjemności? My nawet — mówiła jedna z tych pań — jeżeli, z pewnym przymusem nieraz uczymy się trudnych powikłań wintowych, to czynimy tylko dlatego, ażeby uprzyjemnić czas biednym, spracowanym mężom naszym. A pan — czego pan chcesz od nas? — Oto zamąć spokój pożycia domowego, poróżnić męża z żoną, złe ziarno niezgody zasiał. Czy pan jesteś adwokatem od rozwodów i panu już klientów zabrakło? — I tak dalej i dalej popłynął potok wyrzutów dam obrażonych.

Uczulem, że mi się niedobrze robi, zapomniałem — jak to mówią — języka w gębie i — doznałem nawet pewnego zaniepokojenia w sumieniu.



— Boże mój! — pomyślałem — może i słuszną wymówką. Biedne, spracowane mężysko wraca z biura lub od stołu redakcyjnego do domowego ogniska, a pragnąc po ciężkich trudach dnia odpocząć, odzywa się do żony:

— Basiu! zagraj ze mną wincika!

A ona:

— Ach, ty taki, ty owaki! tobie wint w głowie, ten wint, którego tak bardzo kronikarz „Bluszczu“ nie lubi?..

I — zamiast, jak to na dobrą i posłuszną żonę przystało, kazać służącej oczyścić pole zielone, przygotować wszystkie do gry potrzebne przybory i — z przeciwka małżeństwo do niewinnej rozrywki zaprosić — ona, korona głowy mężowskiej, oplata czoło jego wieńcem cierniowym, i to wszystko przeze mnie?..

Poczułem dreszcz zgrozy, a w oczach wielkie łzy skruchy... Panie patrzyły na mnie, z tryumfem ćmiąc papierosy, mężczyźni niecierpliwili się.

Zacząłem bąkać:

— Przepraszam — ale — nie wiedziałem, że to panie dla mężów się poświęcają.

— A pan myślałeś?..

Zwróciłem do jednej.

— Więc to ten partner — to jest mąż pani?

— Nie — to doktor Surowica.

— A małżonek?

— W klubie.

— A pani mąż? zwróciłem się z zapytaniem do następnej.

— W klubie.

— A pani?

— Także w klubie.

Zostałem ostatecznie pokonany. Tak! dla uprzyjemnienia biednym, spracowanym mężom długich, szarych chwil jesiennych i zimowych wieczorów, niektóre już z pań naszych zaczynają się uczyć tajemnic wintowych.

A jeżeli i reszta pójdzie ich śladem?

Boże mój! ile to ramion się wzruszy, ile to jeszcze ostrych pocisków z ust pięknych na głowę biednego gawędziarza spadnie, ile spojrzeń szdereznych na wyłot go przebijel!

Ale cóż począć?..

Wzięłem na się rolę kowala — kuć muszę, choćby ostygłe żelazo.

Widzicie, szanowni czytelnicy, że dałbym za wygraną koronkom i szlalom, gdyby nie ów atak niewieści, przed kilką dniami wprost na mą biedną głowę wymierzony. Po tej utarczce z paniami, w żywo następnie zawiązanej rozmowie, przekonałem się: że pewien jegomość nie jest tak straszny, jak go malują, że w słowach moich jest najoczywistsza przesada, albowiem *jeszcze* dużo spotkam domów, gdzie niekoniecznie dla gier kartowych tylko zbiera się towarzystwo.

To *jeszcze* niezupełnie mnie pocieszyło, albowiem przy niem zawisła już niteczka nadziei, że — da Bóg — i to się z czasem odmieni. Zapewne, że w półmilionowym mieście, jakim jest Warszawa, to *jeszcze* ma dotąd dość silne zastosowanie. Ale czy na jednej tylko Warszawie cały nasz światek stoi? czy do jego składu nie wchodzi miasteczka i miasteczka?

A jak tam?

W ubiegłym tygodniu miałem sposobność przekonania się o bardzo smutnej prawdzie ze szczegółowych relacji, otrzymanych od ludzi, zamieszkujących owe miasteczka i miasteczka, a którym dobro społeczeństwa na sercu leży. Tam *już* nie znajdują się domy takie, w którychby *jeszcze* wint nie zapanał. To też dziwna senność umysłów, dziwna pustka tam w piersiach i krótkowidztwo przerażające. W ogromie takim, jakim jest Warszawa, to złe ginie, ale — tam — z całą bezczelnością rekina na wierzch wypływa. Małe sadzawki i stawy, nie pilnowane i nie szlamowane, prędko zapełniają się rozmaitemi potworkami, duże jeziora przez pewien, długi czas nawet, bronią się przeciw tej płodności złych roślin — ale i one za-

mulać się mogą i zacuchnąć z czasem. My, mieszkańcy Warszawy, ją tylko mamy na uwadze i po niej o reszcie sądzimy. Być może, że *jeszcze* głowa nie zupełnie zaatakowana jest polipem, lecz inne członki już tej chorobie uległy. Tu już nie napomnieć potrzeba, nie zrzedzeń do nieczego nie prowadzących, ale rozejrzania się dokoła i wejścia w siebie. Trudno jest dopatrzeć wad własnych, nie mała walka z panującą już namiętnością, ale potrzeba postawić przed sobą hamletowskie pytanie i raz ale stanowczą dać odpowiedź.

— Jezus Marya! i na drodze ku temu wszystkiemu wint staje?..

Och! gdybyście chcieli przetrzeć oczy i zobaczyć złe ztąd wynikające. Niema się czasu na książki, krótka, sensacyjna powieść *jeszcze* zajmie tych ludzi, ale poezya — nuży, dramat — wywołuje uśmiech politowania. Tam, gdzie ten bożek gry hołdy obiera, umysł tępieją, coś w sercu i piersi wygasa, rozluźniają się węzły towarzyskie; gdy zaś i kobiety zaczną w cześć jego kadzidla palić, co się stanie z chatą kołodzieja? — Bij, ale słuchaj — nie wiem już który z filozofów starożytności powiedział — i oto wasz sługa gotów jest na razy i pociski przeróżne, ale zawsze szczerze i otwarcie wypowie co mu na sercu kamieniem spocznie i sen zamąci.

„A przecież i z winta może wynikać czasem jakiś pożytek“ — czytamy w jednym z numerów „Kuryera Codziennego“: — Oto wynikała zeń kwestya językowa, którą do rozstrzygnięcia podał list „pewnego kółka winciarzy“. Używano tam pewnego wyrażenia, właściwego tej grze tylko, a używano błędnie. Kuryer rad jest, że zwrócono na to uwagę i że zażądano od pisma racjonalnego rozstrzygnięcia tej materyi.

I słusznie!

Przy wincie można zapomnieć mówić poprawnie. Dobrze więc jest, gdy choć tę spostrzeżono wadę i na nią lekarstwa zażądano. Bez wątpienia, że doktorami w tych razach powinni być panowie redaktorowie pism, że oni to przedewszystkiem mają święty obowiązek czuwania nad zdrowiem tego skarbu. Zachodzi jednak ogromna trudność w wynalezieniu lekarza.

Dlaczego?

A oto dlatego, że sami panowie lekarze także jakiegoś lekarza potrzebują. Mieszkający gdzieś na prowincyi czytelnik, który kaleczy ojczysty język, na tą chorobę szuka ratunku w odwoływaniu się z zapytaniem do pism i sam na tych pismach kształcić się pragnie. W odpowiedziach „od redakcyi“ podają mu bardzo dobre wskazówki, ale cóż — gdy w łamach takiego a takiego pisma, co krok to pojawiają się grzechy, których już nawet do powszednich zaliczyć nie możemy. I oto: zamiast być nauczającymi, stają się nauczaniem. Parę dni temu byliśmy świadkiem odebrania przez pewną redakcyą listu, który brzmiał mniej więcej w te słowa:

„Jak chcecie, szanowni panowie, ażeby ogół dobrze władał językiem, jeżeli wy, którzy na czele tego ogółu stoicie, i z wielu względów zaliczacie się do inteligencji — zły przykład dajecie z siebie. W niejednej wątpliwej kwestyi chciałoby się u was zasięgnąć nauki, tymczasem, jak widzę, z nauką do was wystąpić potrzeba. Bo, czy to się godzi nie spadkować nazwisk kończących się na *icz* naprzykład. Piszecie: w domu panny *Wojnicz* zamiast *Wojniczanki*, śledziłem za *złodziejem*, zamiast wprost *złodzieja*“, i t. d.

Jakiś weredyk stary nie żałował pióra, ni atramentu, w bawelnę nie owijał prawdy, ale dobitnymi wyrazami przemawiał do zaślepionych w wielkości swojej, redaktorów. A był to od lat już dwudziestu czytelnik pisma, do którego z uwagami wystąpił, i — twierdził, że dawniej nieco lepiej pisano.

Gdzie więc leży przyczyna tego zepsucia się?

Nie będziemy jej szukali na razie, dość, że się w złych skutkach objawia. A złe, gdy się z nauczycieli uczniami stajemy — boć przecie dużo na tem powaga pisma traci.

Lecz zasłużone cięgi...!

Nie każdy jednak z czytelników potrafi zrobić podobne uwagi. Większość, co nam się zdarzało nieraz słyszeć, nie chce się przyznać do błędów popełnianych w mowie, powołując się właśnie — na pisma.

— Patrz pan — dziennik taki, gazeta taka nie piszą inaczej.

„Jest to dyplomata w wyższym stylu, — pisze jeden z kuryerów a *jako taki* (zamiast *a przeto*) nie reprezentuje żadnego ze skrajnych kierunków.“

Prawie zawsze na biletach wizytowych, przesyłanych przez pana i panią czytamy: *Karolowie B. Antoniowie C.* i t. d. zamiast *Karolostwo, Antoniostwo*. Ale z kąd się tu zwykły śmiertelnik dowie jak pisać potrzeba, jeżeli w jednym, bardzo poważnym zresztą dzienniku czytamy znowu: „*Marszałkowie* nie pozostawili potomstwa.“ Miało to być *marszałkowstwo*, ale referent dziennikarski nie wiedział widocznie jak pisać potrzeba, a korektor przy redakcyi nie lepszą snadź znajomością własnego języka mógłby się pochwalić. — Doprawdy, że chęćka mnie bierze zamiast nie nieznaczącego wyrażenia: Pismo, dziennik, — wykazać ich tytuły.

Prowadzone z wami co drugi tydzień pogadanki mają tę niedogodność, że o wiele rzeczach, które są na porządku dziennym, pomówić dopiero można po upływie pewnego czasu. Nie na dobre więc może będzie wspominać o uroczystości *Zaduszek*, które dawno przeszły, lubo ś. Marcinie, który nie przyjechał na białym koniu. A jednak ten tradycyjny obchód w dniu poświęconym umarłym — dużo ma smutnej poezyi i powagi w sobie. Zdaje się, że ten zwyczaj jest naszym wyłącznie, że go nie masz u innych narodów, że początek jego sięga dalekich, prasłowiańskich czasów.

Nieprzeliczone tłumy napełniły miejsce spoczynku umarłych, krocie światła zabłysły po grobach. Nigdy ten cmentarz Powązkowski nie wydał mi się tak zalany łuną ognia, jak podczas tegorocznego obchodu. Wszystkimi bramami wchodziły i wychodziły tysiące, na każdym niemal gróbowcu płonęły lampki lub świece, wszystkie aleje roily się od tłumów ludzi. Każdy tam miał grób jakiś, mogiłę jakąś, nad którą zatrzymywał się i dumiał chwilę. Nastroj był uroczysty, rzadko nawet szept cichej rozmowy do uszu ci dobiegał — potęcał wiatr tylko obnażonemi drzew konarami i niewymownym wiał smutkiem.

Lubię ten cmentarz i nie opuszczam nigdy tej chwili uroczystego dnia *Zaduszek*.

Charakterystycznym jest dzień, wieczór właściwie, w dniu ś. Marcina. Wedle przywiązanej doń wróżby, nie mamy się co obawiać zbyt śnieżnej zimy. Jak dotąd, nie nam przynajmniej o niej nie mówi. Dni nadspodziewanie są ciepłe, czasami nawet zza chmur strzeli złoty promień słońca i serce poruszy miłemi wspomnieniami dobrej jesieni. Było wprawdzie parę poranków chłodnych i mróz ściał na ulicach miasta niewielkie kałużki wody, raz nawet zaśnieżyło się pod błękitami, ale to były wesole figle tylko lekko pukającej do okien naszych zimy, która się jakoś namyśla, ocia-ga z przyjściem, jakby sama nie wiedziała *jeszcze*, czy ma nas ukarać zaspami nieprzeżytych śniegów i dwudziestostopniowych mrózów, czy, widząc niedolę tylu ludzi bezdomnych, przejść lekko ponad ich głowami i unieść z sobą błogosławieństwo tych wydziedziczonych? Kapryśna to jednak pani, której nie zawsze dowierzać można: Kto więc pozyskał uśmiech losu i nie lęka się groźnego nawet jej przyjścia — niech czasem wzrok rzuci na poddasze, do suteryn zejdzie z Chrystusowem słowem pociechy i datkiem, o którym niech nie wie lewica.

Taki datek ewangeliczny otrzymał niedawno ks. kanonik Jagodziński. Pewien szlachetny dobroczyńca, ukrywający nazwisko swoje, złożył na ręce kapłana rs. 6.000 dla obrócenia ich na cele dobroczynne według uznania ks. Jagodzińskiego. Szanowny kapłan, odczuwając potrzebę instytucyi „Schronienia dla nauczycielek“ złożył powyższą sumę na ręce p. Józefy Kamockiej, przeznaczyw-



szy dar bezimiennego ofiarodawcy na budowę własnego domu dla Schronienia.

Ofiara ta stanowi pierwszą podwalinę do zgromadzenia funduszu potrzebnego na założenie własnej siedziby dla tak powszechnym uznaniem cieszącej się instytucji, i nie wątpimy, że popłyną grosze i złotówki i te ofiary macoszego losu, te biedne nauczycielki, po długich latach żmudnej a trudnej pracy, gdy smutna starość nadejdzie, a inne miejsce ich zajmą,—znajdą dach spokojny, który ich stroskane głowy okryje, a, pracując, weselszą twarzą w niepewną przyszłość patrząc będą, bo tam u kresu życia zabieleją ściany własnego już domu, którego drzwi nikt przed niemi nie zaprze. — Należy się podziękować szanownemu kapłanowi, że grosz na jego ręce złożony na tak piękny cel umiał obrócić.

Coraz ciemnej, ciemnej i ciemnej, rozleniwione słońce wciąż później pojawia się na niebie, czasami nawet nie rozsunie sennej powieki i wnet do snu pośpiesza. Wieczory długie, noce wydają się jakoby nie miały końca. Nie wiem jak kto, lecz ja nie narzekam na te dni krótkie i zawsze z przyjaznym uśmiechem witam pierwszy blask zapalanej lampy, który nierzadko z pierwszym rozbłyskiem dnia gaśnie.—Wiele-bo w tej ciszy nocnej przemarzyć można, wiele nie pustych słów na kartę papieru rzucić, i, choć sam jestem, nie nudzę się wcale, nie narzekam na samotność nawet, której nie czuję, mając przed sobą pióro i trochę myśli w głowie. Ot, książka jedna i druga, praca tych, którzy napewno w winta nie grają.

Do jednych z najbardziej ciekawych a dla pewnej warstwy społeczeństwa pożytecznych wydawnictw, jak książka p. Telesforda Szpadkowskiego, wydana nakładem Kassy Mianowskiego, zatytułowana: *Nauka Murarstwa*. Wyszła część pierwsza tego dzieła ze stoma tablicami rysunków, traktuje o wiązaniach murowych z kamienia i cegły. Wykład zrozumiały, doskonale rysunki, papier piękny i druk czytelny, przy cenie niezwykle niskiej, bo—rublowej, to wszystko powinno zachęcić naszych rzemieślników do zaopatrzenia się w cenne a jedyne w tym rodzaju u nas dzieło.

We wstępie autor powiada, że „murarze u nas wykonywają swoją robotę w porze cieplej, nie dłużej nad siedm miesięcy, pilniejsi zatem zmuszeni są przez pozostałe w roku pięć miesięcy szukać innego zarobku z mimowolnym usuwaniem się od swego rzemiosła. Podobnie mało umiejętności i pozbawionych corocznie swego zajęcia murarzy mamy do 6.000. Szkoły przeto dla nich, choćby zimowe, są konieczne. O szkołę trudno, poprzestać więc muszą na książkach, któreby im pomagały samodzielnie uzupełniać rzemieślniczą naukę.“

Nie wiemy, jak się stawia mury i wiąże sklepienia, lecz, że omawiana książka zasługuje na szerokie rozpowszechnienie szczególnie między klasą rzemieślniczą ze względu na doskonałe traktowanie przedmiotu, to dość, iż z Kassy Mianowskiego otrzymała zapomogę.

Do liczby pojawiających się wciąż kalendarzy przybył nam znów jeden: „Kolęda“.

Mamże go chwalić?...

— Dla czegoż nie—spytacie?...

— Ależ to kalendarz pani Lucyny Ówierczakiewiczowej!

— Więc?

— Sam się chwali!—Czyż go nie znacie?...

??

## SMUTNA.

**S**mutna jesteś, bo, patrząc na ubiegłe życie,  
Widzisz co po za tobą pozostało w tyle,  
Ile pragnień i marzeń—złoty blasków ile,  
Co świeciły przy życia twój rozkwicie...  
Nie mów przecież, że wszystko dla ciebie prze-  
[padłe,  
Co było twej przeszłości wiarą i nadzieją,  
Masz przecież czarnoksiężkie wspomnienia  
[zwierciadło,  
W którym uroki przeszłych dni twych promie-  
[nieją.  
Znowu kochasz i wierzysz, wyciągasz ramiona  
Do tego, co ci świętem było ideałem,  
Serce gorącym tętnem uderza wśród łona,  
Napełniając pierś biedną ogniem i zapalem.  
I niechaj ci te chwile cicho żyć pomogą,  
Z po za chmur czarnych cieni rzuca promyk  
[słońca:  
A ukojona w sobie pójdiesz prostą drogą  
Tam, gdzie spoczynek cichy czeka cię u końca.

## BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

W mieszkanku Kamienieckich, aczkolwiek skromnie umeblowanym, znać było jednak gust i staranną rękę kobiecą. Obok dawnych, drogiej pamiętek, których się pozbyć nie chciano, figurowały meble, tanim ciemnym kretonem podbite. Firanki pamiętające lepszą przeszłość, umiejętnie pocerowane, i mnóstwo prawdziwie pięknych kwiatów—nadawały małemu salonikowi wesoły i elegancki wygląd. Przez drzwi otwarte widać było niewielki gabinet z dużym, skórą obitym fotelom i garniturem mebli włosiem krytych, z rzeźbionym misternie drzewem. Kosztowne, staroświeckie biurko stało między oknami; przed niem skóra lamparcia rzucona na podłogę. Kilka portretów rodzinnych wisiało na ścianie i rozmaitego gatunku broń, z widocznym zamięłowaniem, zawieszona była nad sofą.

O ile w saloniku panowała pewna niezgodność w umeblowaniu, o tyle w gabinecie i sąsiadującej z nim sypialni, nie zakłócało ogólnej harmonii. Te dwa pokoiki były jakby żywcem z kamienieckiego dworu przeniesione i o to właśnie Kamieniecka i Wanda starały się usilnie.

— My się tam jakoś pomieścimy... — mówiła do Wandy poczciwa babka, urządzając lokal. — Byle ojcu było wygodnie...

— Nie mogę pojąć, jak babunia będzie mogła w tej klaciezce przy kuchni zamieszkać... — perswadowała Wandzia, ale babka była niewzruszoną.

— Będzie mi tam ciepło i spokojnie... — odpowiadała wnuczce, nie przyznając się nawet przed sobą samą, ile odrazy budził w niej malutki, pozbawiony słońca i powietrza pokóik.

Fundusze Kamienieckich po sprzedaży wioski przez licytacyą redukowowały się do trzech tysięcy rubli, które służyć miały na zaspokojenie teraz-

niejszych potrzeb i podstawę do stworzenia sobie bytu na przyszłość. Trudne i ciężkie zadanie! Wiedziała o tem Kamieniecka, pojmowała aż nadto Wanda, a nawet i Muszka, która pilnością w naukach przewyższała na pensyi koleżanki.

Na Stanisława nikt-by już teraz rachować nie mógł. Słaby ciałem, niedołężny umysłem, spędził dnie całe, leżąc na kanapie bezczynnie albo przesiadywał w mieście.

— Co myślisz zrobić z Jerzym? — pytała niejednokrotnie matka, chcąc go zainteresować przyszłością syna. — Czas-by już o nauce pomyśleć... Chłopiec rośnie...

Stanisław wzruszał ramionami i odpowiadał westchnieniem.

— Zgubiony, stracony na zawsze... — szeptała wtedy matka, dusząc się łzami.

I tak było w istocie. Iskry zapалу, energii, chęci do pracy, do zapasów z losem, już-by w tym schorzałym umyśle i ciele trudno było wykrzesać.

Wyrzuty sumienia, które wołało ustawicznie, że zgubił tych, których kochał, tęsknota za żoną, trwoga o jutro, doprowadziły go do ostatecznego zdenerwowania.—„Hysteryk“ — mawiali lekarze wzruszając ramionami. Zapisywali środki zaradcze, radzili wyjazd i spokój... Jedno i drugie niemożliwe.

Rozdrażnienie, brak sił, rosły z dniem każdym. Bywały dnie, kiedy ani matka, ani dzieci, pokazać mu się nie mogły. Stanisław wpadał po prostu w szaleństwo. Mocne napoje, które, jak dowodził matce, rozjaśniały mu smutny pogląd na życie, krew rozgrzewały z nadto. Czego on wtedy nie mówił i czego te biedne uszy matczyne nie słyszały! Jakiej siły woli potrzebowała, by nie wybuchnąć przekleństwem przeciwko sprawcy, która, gdzieś poza granicami kraju trwoni grosz, dzieciom własnym wydarty, bawi się, używa.

— Nie wiem, czybym wytrzymała — mówiła do Borzyckiego, który po roku nieobecności wrócił do kraju — gdyby nie dzieci. Takie to pocziwe, takie szlachetne... Przekonasz się pan, panie Michale, że dziewczęta za lat kilka całą rodzinę podźwigną z upadku. Tylko już Kamieńce stracone na zawsze! — dodała z wyrazem bezdennej tęsknoty.

Borzycki ucałował gorąco ręce sędziwej kobiety.

— Wiem, droga pani, że to rana nie zagojona nigdy... — rzekł z uczuciem. — O ile można, niech pani nie myśli o tem. Tak wiele sił pani potrzebował Bóg dobry, że chociaż dzieci nie zawiodły... Obserwowałem p. Wandę, gdy była jeszcze dzieckiem i powiedziałem sobie zaraz, że jest to matrial na zasną i pocziwą kobietę.

Nie mylił się. Zapomniawszy o swej młodości, o wszystkim, czego-by dla siebie pragnąć mogła, Wanda, jak najpracowitsza mrówka, rzuciła się do pracy.

Pochłonięta tą jedną myślą, że pomódz rodzinie trzeba, wyrzekła się wszelkich przesądów i, jak córka pierwszej lepszej mieszczki, biegła co rano do fabryki i kłóła swoje delikatne palce, szyjąc słomkowe i ryżowe kapelusze. Poza godzinami obowiązkowej pracy uczyła Jurka, pomagała Muszce, brała do domu przepisywanie nut, nie mówiąc o tem, że i babce wielką w gospodarstwie była pomocą.

Wanda, mając lat dwadzieścia, znała już życie i brała je takim, jakim jest... Idealne mrzonki, nerwowe pożądania wrażeń, obce jej były zupełnie. Trzeźwą, praktyczną naturę babki przejęła od niej w zupełności i nie lękała się pracy i niedostatku.

Spokój i wesołość zabijała myśl o ojcu i tęsknota za Lorką i Kamieńcami, a upokarzała świadomość, że matka, którą kochać i szanować obowiązkiem jest dziecka każdego, w sercu dumnej dziewczyny, nie obudziła ani miłości, ani należnego sobie szacunku.

To też i dziś szczęśliwą wiadomość o przyjeździe siostry zachmurzyło wspomnienie lat ubiegłych i lęk jakiś, z którego sama przed sobą tłumaczyła się nie chciała. Uprowadzenie, jakie żywiła ku matce, od bardzo, bardzo dawnych lat się datowało. Gdyby matka dla ojca i babuni była dobrą, przebaczyłaby jej łatwo obojętność dla siebie i rodzeństwa... Ale czyż ona nie pamięta, ilu przy-



krych, bolesnych scen domowych matka była przyczyną!

Co będzie teraz? Ojciec chory, drażliwy; nie wiadomo jak przyjmie wiadomość o powrocie i co z tego wszystkiego wyniknie? Oh, jak ona-by rada jednej chwili być już przy Lorce...

Z obiadem czekali na Stanisława. Borzycki omylił się!... Dzwonek przybycie Kamienieckiej zwiastował.

— Nie wiem, nie wiem doprawdy—mówiła rozgorączkowana, dowiedziawszy się o nowinie—zy mam się smucić, czy radować!... Jeżeli Lila wróciła upokorzona, a nauczyła ją doświadczenie, jak pieniąż szanować należy, to powrót jej do domu może korzystnie wpłynąć na Stasia... Jak sądzisz, panie Michale?

Mówiła krótko, urywanym głosem, z rumieńcami wypieczonemi na mizernych policzkach, poruszona do głębi.

— Tak przypuszczam — odpowiedział Borzycki, z ubolewaniem patrząc na nią.

Nie miał on bynajmniej pewności, aby przyjazd Lili sprowadził dobre skutki.

— Przykro mi, że widzę panią tak wzburzoną — dodał jeszcze — zaniepokojony seryo, wyglądam p. Kamienieckiej.

Wanda, z oczami pełnemi blasków, stanęła przy babce.

— I ja bardzo się lękam wszelkich wzruszeń dla babci—szepnęła.—Babuniu najdroższa, czyby nie można, do czasu przynajmniej, ludzi się nadzieją, że wszystko dobrze będzie? Myślmy tylko o tem, co nam radość sprawia. Lorka, nasza ukochana Lorka, będzie wkrótce z nami i—może Bóg pozwoli, że już zostanie u nas... Babciu, babciu, jakie to szczęście! Zobaczysz, babciu, jak się wszystko zmieni z jej przybyciem! Ojczulek humor odzyska... Lora miała przecież szczególny dar, spędzania chmur z jego czoła. Wie pan? — zwróciła się do Michała z promiennym uśmiechem. — Trudno mi będzie poznać Lorcę... Tyle lat nie widzieliśmy się...

— Istotnie. — Michał patrzył na nią z pocieciem rozradowaniem w oczach.

Jurek wpadł do pokoju.

— Ojciec idzie—zawołał. — Widziałem wyraźnie... Jak to dobrze, że będziemy nareszcie jeść obiad...

— Głodny jesteś, chłopczyku? — pogłaskała go babka, po zwiechrzonej czuprynie.—Krupnik z jęczmiennej kaszy zje się dziś z apetytem. Co?

Chłopiec się skrzywił nieznacznie.

— Jeżeli na mięsie babciu—spytał cicho.

— Nie bądź łakotnisiem, maleńki... — odparła Wanda i pobiegła do kuchni.

Po niedługiej chwili wszedł Stanisław. Powitał krótko matkę i Borzyckiego i przeszedł do swego pokoju.

Oko matki pobiegło za nim. Głębokie westchnienie wydarło się wkrótce z jej piersi. Stanisław z kieszeni paltota wyciągnął parę butelek wina. Odrzucił różową bibułę i butelkę poniósł ku światłu.

— Stara firma... — mruknął. — Niepodobna, żeby fałszowali. Butelka omszała... powinno myszką trącić.

Nie zdejmował paltota, zajęty oglądaniem, tylko od czasu do czasu spoglądał nieufnie na otwarte drzwi...

— Oni się na tych delicyjach nie znają—rzekł, uśmiechając się... — Oszczędność mamy graniczy prawie ze skąpstwem. Trudno mi pojąć, z kąd się to wzięło...

Odkorkował butelkę i pociągnął spory łyk, raz i drugi. Błada, mizerna twarz rozrozumiała się i oczy poweselały.

— Prosimy ojczulka — ozwał mu się tuż nad uchem śpiewny głos Wandy.—Waza na stole.

Drgnął i odwrócił się, chcąc nieznacznie ukryć butelkę. — Musiałbym częstować Michała, — mruknął.

— Idę zaraz—odparł niechętnie.—Cóż tak głośno anonsujesz? „Waza na stole...” Myślałby kto... A to z pewnością, nowa jakaś mieszanina wody z włoszczyzną, którą podoba wam się chrzącić mianem zupy... Zapomniałem już, kiedym zupy jadł...

Rozpromieniona twarz Wandy spochmurniała. Już i ona wiedziała, niestety, co taki humor oznacza. I to właśnie teraz, gdy matka i Lorcia wróciły. Mój Boże, mój Boże co to będzie? A czas upływa... W hotelu oczekuje niecierpliwie matka z Lora... Trzeba uwiadomić ojca... Przysunęła się nieśmiało.

— Tateczku—rzekła prosząco — obiad wystygnie... babunia czeka... Pomogę ojczusiowi zdjąć paltot...

— Dziękuję, dziękuję!—burknął niecierpliwie. — Już ja sam sobie dam radę. Ale dobrze, że mi przypomniałaś... Babcia nie powinna czekać. Idę zaraz.

Rzucił paltot na fotel i obejrzał się na córkę.

— Czemu nie rozlewasz zupy? powiedziałem, że przyjdę...

Wanda wyszła.

Stanisław napił się wina, schował starannie butelki i przeszedł do skromnej jadalni, gdzie już wszyscy zebrani byli przy stole.

— Czekamy, Stasiu—ozwała się Kamieniecka, z niepokojem patrząc na niego.

— Przepraszam! — usiadł i zabrał się do jedzenia.

Obiad upłynął w milczeniu. Czasem Borzycki wtrącił jakieś słówko, Kamieniecka zbyła go krótko, zajęta myślami; na promienną twarz Wandy padł cień jakiś...

— Mam ci coś powiedzieć, Stasiu—rzekła wreszcie matka, gdy wstali od stołu. — Coś bardzo radosnego...

Stłumiła westchnienie, które jej się wydierało z piersi, i ujęła syna pod ramię. — Przejdźmy do twego pokoju—dodała ciszej.

W chwilę potem siedziała na kanapce w pokoju syna, z bliskim niepokojem w oczach. Jak on to przyjmie? Dla niej, oczywiście, skończyło się już wszystko. Los i tej odrobiny spokoju jej pozazdrościł. Ciężko było, to prawda! Pracowała ile sił starczyło, ale dotąd, aczkolwiek bardzo skromnie, zawsze jednak rachunki miesięczne wypadały pomyślnie, i to było dla niej rękojmią przyszłości. Cóż będzie, jeśli Lila zechce choćby w miniatyrze, na dawny sposób rozpocząć życie? A czy to możebne wobec ich położenia? Nakoniec trudno byłoby przypuścić, aby zapomniała o tem, co matka mężowska, w oburzeniu i boleści, wyrzekła do niej w Krakowie. Pomiędzy nimi nie może być mowy, ani o przebaczeniu, ani o sympatii. Jak wobec tego ułożą się stosunki?

Zwróciła się do syna.

— Stasiu—rzekła, nie namyślając się dłużej—przygotuj się do usłyszenia niespodziewanej wieści. Istotnie, spadło to tak nagle... Chcę, abyś spokojnie przyjął radosną nowinę. — Wahała się, chcąc go przygotować. Stanisław słuchał obojętnie.

— Czy wygraliśmy na loteryi?—pyta. Był rozmarzony winem, senny, rozmowa z matką ciążyła mu.—Spotkałem Bielickiego—mówił dalej.—Wie mama? Ten z Ossówki. Oni także na bruku... Wypiliśmy parę lampek przy tej okazji... Trzeba oddać sprawiedliwość Fukierowi... Nie drze jak inni, a wino dobre daje. Bielicki sam...

— Mój Stasiu kochany, cóż mnie to może obchodzić? Nie znam się na winie, a czasu mamy niewiele. Żona twoja będzie się niecierpliwiła i nie bez racji; sam to przyznasz.

— Żona? — Stanisław spojrzął na matkę bezmyślnie.—Ja, nie mam żony... — mruknął. — Wie mama przecież...

Usiadł ciężko na fotelu i westchnął.

— Moja pani bawiła się mną jak piłką — zaśmiał się z ironią.—Cały świat wie o tem!

Rozmowa z nim stawała się coraz trudniejszą.

— Tylko nie przesadzaj, mój Stasiu — rzekła uspakajająco Kamieniecka.—Nie przeczę, że żona twoja źle postąpiła, ale są tu okoliczności łagodzące...

— Niema żadnych—odparł porywczo. — Moja mama, ja wcale sobie nie życzę słuchać obrony Lili i...

— Nie mam zamiaru bronić, ale—zawahała się i dokończyła z trudnością—żonie twojej, przede wszystkim chodziło o córkę. Wychowana zagranicą, nie pojmowała, aby Lorcja mogła kształcić się tutaj... Nielogiczne to, przyznaję jednak,

ze względu na pojęcia, jakie jej wszczepiono — usprawiedliwione. Zresztą, stało się! Jużemy to niejednokrotnie rozpamiętywali. Obecnie... mój Stasiu, błagam cię, przyjmij to spokojnie... Żona twoja jest w Warszawie i...

— Co?—W pierwszej chwili nie był zdolnym wymówić nic więcej. Stał przed Kamieniecką i schwytał ją za rękę.—Matko, co ty powiedziała? Czym ja dobrze słyszał?... — Zawiesił wzrok na jej twarzy, drżący z obawy, aby mu nie zaprzeczyła.—Powtórz, powtórz mi to matko, — prosił jak dziecko, patrząc na nią błagalnie.—Więc Lila wróciła, moja żona wróciła? Może ja śnię?...

Kamieniecka wskazała mu miejsce obok siebie.

— Usiądź,—mówi łagodnie. — Pojmuję, że cię to wzruszyło, ale staraj się być spokojnym. Zapomniałeś, jakie przykre nerwowe ataki nawiedzają cię po każdym wzruszeniu.

Wyschłą dłoń przesunęła mu po czole pieszczotliwie.

Jemu w piersi coś grało, tamowało oddech. Piorunujące wrażenie wywarła na nim wiadomość o powrocie żony.

— Jestem spokojny — powtarza szeptem.—Zupełnie spokojny... Radbym tylko zobaczyć ją jak najprędzej.

— Nie pytasz o Lorcę? — odzywa się matka z wyrzutem.—Lorcja wróciła także...

Zadrżał jej głos, gdy wymawiała imię wnuczki. To jedyna pociecha wobec bolesnego dla niej spotkania z Lilą.

— Stoją w hotelu Europejskim—dodała.

Stanisław zerwał się gwałtownie.

— Muszę iść—woła rozgorączkowany.—Muszę iść, zaraz, natychmiast...

Schwycił paltot, matka go powstrzymała.

— Stasiu—rzekła poważnie—zastanów się, nim pierwszy krok uczynisz. Czy zapomniałeś? Z jednej ostateczności wpadasz w drugą. Po tem, co zaszło między wami, nie powinienes być pierwszym. Nie chcę potępiać Lili, ale też i nie życzę sobie, aby przeszłość tak łatwo zapomnianą została. Rany niezabliźnione jeszcze, mój synu, a duma twoja, jako męża, za głęboko była upokorzona. Pamiętaj o tem!

— Ale ja wszystko zapomniałem, przebaczyłem... — zawołał, ledwo dając się powstrzymać Stanisław. — Nie chcę nic wiedzieć, o niczem pamiętać... Dziwię się, doprawdy, że mama przypomina mi to wszystko. Po co?

Kamieniecka westchnęła. Zdjęła ją trwoga. Jeśli Lila wróciła taką, jaką była, Stanisław nie oprze się jej, i teraz, i...

Dreszcz nią wstrząsnął.

— Mojem zdaniem,—zaczęła znowu — byłoby najlepiej, aby dzieci poszły przywitać matkę. Nam obojgu nie wypada. Jeżeli to ma być pojednanie, to Lila pierwszy krok uczynić musi. Tak się należy. Dla mnie to zrobisz, Stasiu!

— O matko, nie mogę ci tego przyrzec—zawołał Stanisław zniecierpliwiony. — Jeżeli Lila nie zechce...

— Poczekaj, mój drogi! Widzisz... nie chciałabym ci przypominać, ale ja także mam niejakię prawa wymagać choćby pozorów grzeczności i jakiegokolwiek względów ze strony synowej. Zważywszy mój wiek...

Stanisław pochwycił kapelus.

— Niech mama robi jak chce, byle mnie nie torturowała dłużej!—zawołał.—Chcę widzieć moją żonę jaknajprędzej i niema w tem chyba nic dziwnego. Po kilku latach niewidzenia, tęsknoty, szalu nieledwie, wiem, że jest tutaj... blisko... że w każdej chwili mogę ją zobaczyć... Nie, doprawdy! Mama jest bez litości nademną... Lila miała rację twierdzić, że duma zabiła w mamie wszelkie miększe, łagodniejsze uczucia.

— Aaa!... tylko ten wykrzyknik wybiegł z pobladłych ust Kamienieckiej. Podniosła się i poszła zwolna przez pokój. W proggu jednakże zatrzymała się...

Jeżeli odejdziesz teraz i pozwoli temu szaleńcowi nałożyć sobie nowe pęta, co się stanie z przyszłością dzieci? Ani na chwilę nie wierzyła w poprawę Lili.

— Stasiu—rzekła, zwracając się raz jeszcze do niego i oddychając ciężko.—Zrób jak chcesz, ale pamiętaj, synu, że twoja stara matka sprzeciwiała



## Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Listopadzie.

się temu. Pamiętaj, że jeśli żona twoja nie wróci tu skruszona i sama prosić nie będzie, abys jej drzwi domu swego otworzył, o, wtedy wszystko stracone, i ta przyszłość, resztkami mienia, pracą moją i dziećmi twoich budowana mozolnie, zostanie zgruchotaną, zniweczoną na zawsze! Już nikt i nie odbuduje jej potem.

Głos tak jej drżał że ledwo mówić mogła. Oczy tonęły we łzach, trzęsły się usta. Tyle już wycierpiała!

Stanisław, zachmurzony, zapinał palto i nie patrzył na matkę.

— Teraz ja muszę prosić mamę, aby się uspokoiła — rzekł nareszcie. — Przewidujemy rzeczy nadzwyczajne. Czyż to nie jasny dowód, że Lila mię kocha, skoro powróciła? Dla tego męczyć jej niepewnością, oczekiwaniem i jakimiś wymaganiami, nie uważam za słuszne. Niech mama będzie spokojną... Zrobię tak, jak będę mógł najlepiej. Dowiedziona jest rzeczą, że synowe nie budzą miłych uczuć w sercach mężowskich matek. To ogólne i łatwe zrozumiałe.

Uśmiechnął się i podszedł do matki.

— Do widzenia, mameczko — rzekł nieco serdeczniej. — Proszę się nie lękać... Ja sam teraz kierować będę moją żoną i na żadne wybryki nie pozwolę. Mam nadzieję, że się ze sobą pogodzicie...

Pocałował rękę matki i wyszedł.

Kamieniecka weszła do saloniku.

Na ustach Michała i Wandy zamarły słowa, gdy ją ujrzeli.

— Nie, nie, nie lękajcie się — rzekła słabym głosem. — Trochę mi było niedobrze, ale już przeszło. Ojciec poszedł do hotelu, Wandziu; czas i na was. Czy posłałaś na pensyę, aby zwolnić Muszkę? Wyobraź sobie, panie Michale, że to pocziwe dziecko nie chciało sobie nawet w święta zrobić wakacyi. Pisz jakieś wypracowanie.

Umilkła zmęczona.

— Przyprowadźcie mi Lorke — rzekła po chwili. — Czuję, że wzmochni mnie jej widok... Drogie dziewczę, jak ona ślicznie wyrosnąć musiała! — Wyciągnęła rękę do Michała. — Czy przyjdiesz dziś do nas na herbatę, mój dobry przyjacielu? — spytała.

— Nie, czcigodna pani — odparł Borzycki, całując jej rękę. — Przyjdę jutro. Niech Bóg pania pocieszy — dodał z głębokim wzruszeniem.

Kamieniecka uśmiechnęła się smutnie.

— Ufam Mu nieograniczenie — szepnęła i pocałowała pochyloną głowę Michała.

Gdy wyszła, odwrócił się szybko, by ukryć łzy, które mu do oczów nabiegły.

— Święta kobieta! — rzekł do Wandy. — Możesz pani być dumną, że jest babką twoją... Gdyby więcej było kobiet takich na świecie...

Westchnął i spojrzął na Wandę. Twarz jej z ożywionej chwilowo, stała się znowu poważną, niemal surową. Pod naciskiem przykrych widocznie myśli białe czoło sfałdowało się w drobniutkie zmarszczki, oczy patrzyły w dal, smutne, z dziwnym jakimś wyrazem.

Jeden rzut oka na bladą twarz babki wyjaśnił jej wszystko. Przeczowała to, co się stać musi, i przelękała się...

Michał podszedł ku niej.

— Panno Wando — rzekł nieśmiało — ośmielę się przypomnieć prośbę babuni. Istotnie, pożądanym wypadkiem byłoby przyspieszyć przybycie panny Eleonory. Widzę już radość p. Kamienieckiej.

Ocknęła się.

— W tej chwili idę — odparła z gorącym błyskiem w oczach. — O moja droga, najmilsza siostrzyczka! Nie umiem wyrazić, o ile uszczęśliwia mię jej powrót. Pójdę po Jurka, i wychodzimy.

— Czy pani pozwoli towarzyszyć sobie? — zapytał Michał z prośbą w oczach. — Do hotelu europejskiego spory kawałek drogi.

Wanda w tonie jego głosu dostrzedz musiała coś niezwykłego, bo na matowo-bładą jej twarz padł odbłask rumieńca.

— Jeżeli pan sobie życzysz... — szepnęła i, nie patrząc na Michała, wybiegła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jakkolwiek bogatym i zajmującym był pawilon Przemysłowy na wystawie tutejszej, to jednak przyznać trzeba, że większość tego, co tam nagromadzono, zobaczyć było można równie dobrze i na wystawach naszych pierwszorzędných sklepów, wiele zaś ciekawszych okazów i to z rzędu tych, które li tylko dzięki Wystawie lwowskiej oglądać nam było dane, mieścił w sobie obszerny, choć niezbyt ozdobny, pawilon Wydziału krajowego.

Instytucya ta stanęła tu niejako do popisu, wykazując, jakie za jej staraniem i poparciem zostały osiągnięte rezultaty w dziedzinie przemysłu, wspartego rozumnym kierunkiem i pracą. Mamy tu zatem przedewszystkiem cały szereg szkół.

Szkoły przemysłowe lwowskie i krakowskie, męskie i żeńskie miały pourządzane jakgdyby oddzielne pawiloniki, w których porozkładano się roboty uczniów i uczennic z zakresu stolarstwa, ślusarstwa, artystycznej rzeźby stosowanej, haftów, koronek, malowania na szkle, porcelanie i t. d. Były tu rzeźby wprost prześliczne i zdumiewające swem wykończeniem w najdrobniejszych szczegółach, co chlubne przynosi świadectwo szkołom i ich obu płci kierownikom.

Oddzielnie urządzone wystawę przedmiotów wykończonych ręką stypendystów szkół przemysłowych t. j. uczniów, którzy z powodu swych wyróżniających się zdolności zostali wysłani dla ukończenia studyów do szkół specjalnych za granicę. W dziale tym na pierwszy plan się wysunęły wspaniałe garnitury, stanowiące umeblowanie jadalni na motywach huculskich. Te delikatne rzeźby, to misterne wykładanie różnokolorowem drzewem, noszą na sobie piętno takiej oryginalności bogactwa fantazyi, że mogły stać się ozdobą najwspanialszego pałacu. Trzeba też przyznać, że cena tego pięknego stylowego garnituru jest bardzo wysoka. Tosamo da się powiedzieć o cenach naznaczonych na wyroby garncarskie, pochodzące ze szkół galicyjskich, zostających pod opieką i zarządem wydziału. Jest ich trzy: w Porębie, Tłustem i w Kołomyi; ta ostatnia cieszy się najszerszą sławę i rozwija najpomyślniej, a to dzięki umiejętnej kierownictwu swego dyrektora, p. Alexandra Klimaszewskiego. Trudno zaiste oderwać oczy od tej wspaniałej, różnorodnej kolekcji waz, dzbanów, urn i tysiąca przedmiotów zbytku i potrzeby różnej wielkości, kształtu, przeznaczenia o zarysach tak fantazyjnych a pełnych wdzięku, barwach żywych a harmonijnych.

Zasadą szkoły jest opieranie wyrobów na motywach ludowych, które służą tu jako źródło pomysłów i pierwowzór, nadając mu dziwnie charakterystyczne piętno oryginalności. Jak wielkim jednak jest tu postęp uzyskany dzięki racjonalnie prowadzonej nauce i wyszlachetnionemu gustowi, łatwo osądzić, gdy się porówna umyślnie zestawione wyroby słynnego przed niedawnym czasem w okolicach Kołomyi garncarza Bachmińskiego z tem, co się dzisiaj otrzymuje w szkole garncarskiej. Zarówno gatunek glinki, na której to kruchość i nietrwałość nieraz się dawniej uskarżano, jak i kształty, barwy, ornamentyka, wszystko to wyszło z powijków elementarnej, pierwotnej zręczności, nabierając cech prawdziwego artysty.

Należałoby koniecznie pomyśleć o tem, by prześliczne wyroby garncarskie ze szkoły i okolicy Kołomyi mogły być zaprodukowane na rynkach miast zagranicznych, gdzie, pociągając swem niezaprzeczonem pięknem i oryginalnością, znalazłyby zapewne zbyt ogromny, zwłaszcza wobec dzisiejszej mody ozdabiania mieszkań podobnemi gramicami. Gdyby na przedmioty te, tak piękne, częstokroć pożyteczne, choć dotychczas cokolwiek, co prawda, za drogie, otworzył się znaczny popyt, produkcya wyrobów garncarskich zyskałaby dopiero wtedy racjonalny rozwój, zachęcając jednocze-

śnie ludzi uzdolnionych w tym rodzaju artystycznego przemysłu do poświęcenia mu swojego czasu i talentu. Nie śmiemy przesądzać kwestyi; ale zdaje nam się, że byłaby to gałąź pracy niewyzyskana jeszcze, a bardzo wdzięczna, w której kobiety mogłyby znaleźć zarobek, zużytkowując swój dobry gust, pomysłowość i cierpliwość.

Tymczasem wszystkie te przymioty znalazły zastosowanie w innym dziale artystycznego przemysłu, w którym kobiety od wieków stały się mistrzyniami, zmuszone walczyć z jedną tylko rywalką, to jest — maszyną. Mamy tu na myśli koronki. Kto lubi ten — bez kwestyi najszlachetniejszy — rodzaj ozdoby stroju kobiecego, a niema chyba nikogo o tak złym guście — ten mógłby tu napawać swe oczy cudowną, zaiste, kolekcją.

Wydział krajowy, utrzymujący kilka szkół koronkarskich w różnych stronach Galicyi, zebrał w jednym oddziale swego pawilonu, imponujący ilościowo i jakościowo zbiór koronek wykończonych przez uczennice i nauczycielki odpowiednich zakładów. Trzeba wziąć na uwagę, że większość tych pajęczych tkanin, poplątanych w najstarsze wzory o dziwnie wdzięcznym i kunsztownym rysunku, wyszła zpod rąk prostych, wiejskich kobiet; a wobec tego niewiadomo co więcej podziwiać: czy wybornie prowadzoną w szkołach naukę i pracę ich kierowniczek, czy też wrodzone a olbrzymie doprawdy zdolności, jakie lud posiada w tak różnorodnych kierunkach?

Koronki, ujęte w kształty wachlarzy, chusteczek, karczków, szlaków i t. d., zapełniają ściany i gablotki; najpiękniejsze z nich pochodzą ze szkół w Bańszudzie i Zakopanem. Specjalnością pierwszej jest naśladownictwo koronek bruxelskich, podczas gdy druga wzięła sobie za wzór ulubiony rodzaj staro-wenecki. Którym z nich przyznać palmę piękna i artyzmu wykończenia? — orzec trudno. Obie szkoły podały rzeczy przepyszne, z których wiele, zwłaszcza zakopańskich, osnutych, jest na motywach ludowych. Nie brak również okazów prac samorodnych właścicieli z zakresu koronkarstwa; niektóre bardzo piękne i dziwnie misterne.

Wzmianka o szkołach zawodowych nie byłaby kompletną, gdybyśmy pominieli milczeniem okazy szkół bednarskich, powroźniczych, tkackich i szewskich, których okazy poumieszczano w osobnych działach, pociągając oko piękną harmonją i wzorowym porządkiem ugrupowania. Szkoła szewcka w Uhnowie, dała najpełniejszy i najbardziej pouczający obraz swej działalności i rozwoju. Bardzo ciekawem jest zestawienie dwóch warstotów szewskich: po jednej stronie widzimy pierwotny niski stołek i takiż stoliczek z mnóstwem niezgrabnych, niedołączonych przyrządów i tradycyjną kopcącą lampą, a jako rezultat — ciężki, niezdatny trzewik, zdradzający swym kształtem i wykończeniem prowincjonalną jakąś pracownię. Odwróciwszy się, spotykamy warstat zupełnie już po-europejsku urządzone i pięknie, elegancko odrobione na niem buciki. Wydoskonalic sposób pracy, jej owoce — dać krajowi jak najliczniejszy zastęp wykształconych w swym zawodzie rzemieślników: oto cel, jaki wytknęły sobie i do jakiego z coraz lepszym skutkiem zdążają, szkoły w Uhnowie i Witkowie.

Zaraz obok wznosił się w lekkich kształtach greckiej świątynki maleńki, śliczny pawilon architektury. Co prawda, zawartość pawilonu mało usprawiedliwiała jego nazwę: kilkanaście planów i modeli różnych budowli i monumentów kryło się skromnie w jednym ze skrzydeł gmachu; poza tem można było tu spotkać mnóstwo przedmiotów pierwszorzędnej wartości artystycznej, lecz nie mających nic z architekturą wspólnego.

Stało się to wskutek tej okoliczności, że ilość nadsyłanych na Wystawę przedmiotów przeszła znacznie naznaczone jej pierwotnie ramy: dyrekcyja zatem zmuszoną była niejednokrotnie nie pilnować się porządku, byleby tylko nie cenniejszego nie pominąć.

W ten sposób zajęły całe lewe skrzydło pawilonu architektury, przepiękne tkaniny, wyrabiane na wzór dawnych litych pasów słuckich, w fabryce hr. Oskara Potockiego w Bańszudzie. Materye te grube, mięsiste, z najczystszej jedwabiu, posiadają cudowną harmonją barw i rysunku; trudno



wyobrazić coś nad nie wspanialszego na przykrycie mebli a zapewne i ścian—gdyby sobie ktoś na taki zbytek mógł pozwolić. Powszechną też uwagę zwracał artystycznym wykończeniem prześliczny parawanik, dość dużych rozmiarów, o czterech skrzydłach oprawnych, w kunsztownie rzeźbione ramy z czarnego gruszkowego drzewa. Ścianki z gazy przezrystej, koloru wody morskiej, pokryte były haftem tak misternym, iż sprawiał on wrażenie malowidła; zarówno rysunek, jak haft są dziełem utalentowanej i pracowitej Lwówianki, pani Zofii Stebelskiej, która dała dowód do jakiego mistrzostwa igła w ręku kobiety, dojść może. Zazdrościć niemal-by się chciało właścicielce tego uroczonego cacka; gdy jaskrawe płomienie kominkowego ognia ożywią te pęki roślin i grupy ptaszek i motyli, zdawać się będzie mogło, zaprawdę, że swawolne gnomy przeniosły nas w jakiś kącik Arkadyi.

Po przeciwnej stronie pawilonu znalazły pomieszczenie przepyszne skrzynie i kantorki, o nadwyzczaj sztucznych zamkach i schowkach, z hebanu, wykładane nadwyzczaj misternie kością słoniową, która tworzyła rysunki nieprawdopodobnej niemal subtelności i harmonii. Niestety, twórca tych prawdziwych dzieł sztuki otoczył imię swe tajemnicą i niepodobna było o nim się dowiedzieć.

Nie krył się za to ze swem autorstwem, lecz przeciwnie zdawał się niem—całkiem zresztą słusznie—chlubić p. Antoni Bąkowski, majster kominiarski z Krakowa, który przysłał na Wystawę owoc swej jedenastoletniej pracy i znacznego kosztu, wynoszącego 1.523 zlr.

Niechcąc mistyfikować naszych czytelniczek które z pewnością nie wpadłyby nigdy na domysł, co stanowi ten kominiarski *majstersztyk*—wolimy powiedzieć, że są to bardzo piękne i bogate ramy wykładane złotem i perłową macicą.

Trudno istotnie zrozumieć w jaki sposób potrafił dzieła takiego dokonać człowiek, nieposiadający żadnego technicznego wykształcenia w tym kierunku; podziwiać tylko trzeba wrodzone zdolności i niezmierną cierpliwość samorodnego artysty.

Łatwo zrozumieć, że na wystawie, urządzonej w kraju tak przeważnie i wyłącznie niemal rolniczym, jakim jest Galicya, dział rolnictwa musi zajmować miejsce jedno z najpierwszych.

Tak też jest istotnie, i płody wydarte matceziemi drogą umiejętności wysiłków pracy ludzkiej rozsiadły się szeroko w licznych pawilonach, z których jeden poświęcony jest wyłącznie rolnictwu we wszelkich jego ogólno-krajowych przejawach.

Ktoby się jednak zechciał zapoznać dokładnie ze stanem gospodarstwa rolnego w Galicyi, której ludność w trzech czwartych uprawie roli się oddaje, musiałby nadto szukać jego plonów w licznych innych pawilonach, stanowiących własność różnych wielkich posiadaczy ziemskich, którzy zaprodukowali prywatnie wszystko, co rozumny i postępowy zarząd z obszarów ziemskich, wydobyć może. Mamy tu więc przekroje i okazy różnych drzew, opowiadające o stanie leśnictwa, mnóstwo próbek wszelakich gatunków zboża, ziarna, jarzyn, owoców, maszyny i narzędzia rolnicze i mnóstwo, mnóstwo innych okazów, wymownych dla znawców, nam—profanom mało mówiących.

Nadwyzczaj estetyczne wrażenie wywierał pawilon łowiecki, nazewnątrz już oryginalnie całą korą drzewną udekorowany.

Wśród efektownie naśladowanych ostępów leśnych—czaił się zwierz rozmaity samotnie lub grupami; mnóstwo nagromadzonej broni, sieci i różnych myśliwskich przyborów—wszystko to sprawiało złudzenie, że jesteśmy gdzieś—w głębinach ukrytej kniei.

Olbrzymia hala maszyn, cała ze szkła i z żelaza, obejmowała, zdaniem znawców, okazy ciekawe i wyborowe, z których większość nadeszła z Czech i Węgier, choć i Galicya w ostatnich czasach nadwyzczajny postęp na polu mechaniki okazała.

Zwłaszcza wszystko, co potrzebne jest do budowy kolei żelaznych, zarówno wagony, jak maszyny i części ich składowe, wyrabiane są w galicyjskich fabrykach, i idą z produkcją zagraniczną o lepsze.

Również przybory górnicze i wiertnicze wychodzą już wyłącznie niemal z fabryk miejscowych, bo też rolnictwo—to bogactwo, sława i duma Galicyi. Wydobywanie soli, nafty i pokrewnego mu

wosku ziemnego—stanowią najpoważniejsze gałęzie pracy narodowej zajmującej przeszło 31 tysięcy par rąk ludzkich i dostarczającej ubogiemu kładnąd krajowi 15 milionów zlr. rocznie.

Nie też dziwnego, że wszystko co wchodzi w zakres górnictwa i kopalnictwa, zostało na wystawie lwowskiej świetnie urządzone i zaprodukowane. Kopalnia wosku w Boryslawiu, ze swoim długim podziemnym kurrytarzem i gdzieśniedzie płonącym kagankiem górnika, dawała zupełnie złudzenie podziemnego szybu; wysoka wieża, w której odbywało się najautentyczniejsze „głębokie wiercenie”—za pomocą kanadyjskich świrdrów, używanych przy wydobywaniu nafty, zapoznawało nas w sposób poglądowy z całym przebiegiem tego ciekawego procesu. Wiercenie, które nawiasem mówiąc, kosztowało poważną sumę 15 tys. zlr., prowadzono tak *con amore*, że osiągnięto prawie 500 metrów głębokości, nie dokopawszy się przecież w rezultacie niczego—nawet wody.

Wystawa produkeyi solnej Wieliczki, Bochni Delatyna i innych *stonych* okolic mieściła się w pawilonie obejmującym przedmioty, na które nałożony jest monopol państwowy t. j. tytoń i sól. Urządzenie działu solnego nie tylko dawało pełny i skończony obraz tej nieocenionej dla człowieka produkeyi, ale zadowolnić mogło również i wszelkie estetyczne wymagania.

Prześliczną, prawdziwie imponującą, była grota solna, ogromnej wysokości, ułożona z najrozmaitszych gatunków soli krystalicznej i wywarzanej z wody—której zna i używa przeważnie Galicya wschodnia.

Czemuż ramy korespondencyi muszą być z konieczności tak ciasne, że zmuszają do pobieżności, a nawet i zupełnego pominięcia tytu, tytu ciekawych szczegółów, które podnieść i opisać godziłoby się i pragnęło? Dziś całe to gwarne, barwne, ruchliwe miasteczko, które, niby za dotknięciem różdżki czarnoksiężkiej, wyrosło nagle a tak wspaniale—przestało istnieć; uroczysce Wzgórze Stryjskie pustka zaległa i martwota.

W. N.

## List z Anglii

Londyn otrzymał nowego lorda majora, sir Grzegorza Taylor, o którego działalności na wysokim tym urzędzie ludzie wróżą tu dobrze, ponieważ jest to człowiek wiele sprężysty i energiczny, przecież podnoszą się i głosy malkontentów z powodu, jakoby nowy dostojnik państwa nie oczyścił się z zarzutów, czynionych mu niegdyś, iż stojąc u czele Towarzystwa udziałowego, które zbankrutowało, przyprowadził stowarzyszonych o straty znaczne, nie zdał dostatecznie rachunków, wykazujących przyczyny upadłości. Już to w Anglii maż stanu potrzebuje być w opinii narodu czystym tak, aby cień najmniejszy nie padł na niego, więc też mnóstwo odpowiedzi popytało się w dziennikach wyrażając to, czem się szczyli Anglik każdy, że ojcowie miasta nie dopuściliby nawet do urny wyborczej kogoś, na kim ciężłaby pod względem nawet najmniejszym uzasadniona jakaś nieufność co do moralnej strony jego charakteru. Zakończono rzecz szlachetnie tem, że dla narodu angielskiego już to wystarcza, iż królowa wybór potwierdziła.

To wielkie zaufanie całego społeczeństwa Anglii w rozum i zawsze dobrą chęć królowej Wiktorji nie zachwiało się też ani na moment jeden w ciągu całym długichlat jej panowania. Królowa-to powagą swego przykładu wytworzyła w kraju całym najszlachetniejszy kierunek dążeń kobiet, tak szczęśliwie skombinowanych, że obok ścisłej zachowawczości w zakresie, który tradycya wieków nakazała niewieście, stała się ona najswobodniejszą, najsamodzielniejszą ze wszystkich kobiet świata. Angielka nie jest biernie niedbała na to, co uważa, że jej oddaniem zostało pod straż przez naród i występuje też śmiało

skoro sądzi, że w tym kierunku coś źle się dzieje. Od pewnego czasu dyrekcyja jednego z teatrów Londynu wprowadziła do przedstawień swoich żywe obrazy, odtworzone z oryginału mistrzów sztuki malarskiej; wspaniałe ramy złożone z ukwienieniem bogatym obrazy te ujmują, że przecież stało się to w naturalnych okazach rzeczą drażliwą, deputacyja kobiet wystąpiła do Rady miejskiej Londynu z zażaleniem, że źle to oddziaływa na wyobraźnię, zwłaszcza młodzieży a godności kobiet uczeiwych ubliża, i Rada zabroniła przedstawień pod zagrożeniem zamknięcia teatru z tym dodatkiem, iż kobieta, której życie jest czystym, ma prawo do takiego uszanowania jej godności, jaką świadczył westalkom świat starożytny.

Podobna kontrola rozciąga się tu i do literatury. Książka, która by obrażała uczucie moralne, któraby była psującą przez złe oddziaływanie na wyobraźnię czytelników, ulega najpierw cenzurze biegłych, to jest z grona wyższych literatów zebraanej rady, która gdy uzna książkę za szkodliwą, skazuje ją na wykluczenie z handlu księgarskiego i pod tym względem nigdzie chyba nie ma tak czujnej kontroli, a pióra najpierwszorzędnich pisarzy usiłują przykładać się do zaopatrzenia społeczeństwa w dzieła, któreby dawały szlachetne poglądy na życie, podnosząc czytelnika nad poziomą realność. Taką też jest świeżo wyszła z pod prasy książka szlachetnego, uczonego pisarza, Lubbocka, traktująca rzecz wysokiego znaczenia dla ludzkości w ogóle a dla pojedynczej jednostki w szczególe, „Zużytkowanie życia“ (The Use of Life). Zadaniem takiej książki jest najpierw rozbudzenie w czytelniku myśli o tem, co powinna wyciągnąć dla siebie z okoliczności życia każda pojedyncza jednostka, udoskonalając się wskutek tego z biegiem lat, a zarazem ukazać, co jej należy przynieść ogółowi przez życie tego pracę. Autor nie pominął tu żadnej z tych stron istnienia ludzkiego, które oddziaływają w tym kierunku. Takt, który nazywa przewodnikiem i stróżem człowieka, broniącym go od bezmyślnych uniesień, od wybryków namiętności, ma tu wyznaczone sobie miejsce pierwsze, bo jest on nam dobrym przewodnikiem wśród życia, gdyż człowiek posiadający takt, rzadko i chyba pod wpływem jakiegoś gwałtownego wzruszenia dopuści się rzeczy, której potem żałować musi.

Następuje z kolei druga, bardzo też ważna kwestya: „Sprawy pieniężne“. Nie chciwość tylko, nie materialnego używania pragnienie każe nam tu być oględnymi i nie pogardzać rachunkiem; pieniąż to nie cel rzeczy samej w sobie, ale środek, przez który wiele pożytecznych spraw możemy dokonać i tak jak plug ryje ziemię, jak winda podnosi ciężary, tak pieniąż ułatwia nam niejedno zadanie ważne, wprawia w ruch wiele mocy, pożytecznie oddziaływających na rodzinę, na społeczeństwo. Oszczędność, nie ta, która jest miłością pieniądzy, chciwością grosza, ale oszczędność usiłująca zapewnić nam niepodległość, to rozum, to siła woli, nie dająca się uwieśdż pożądaniom używania—to niemal enota, stająca się gruntem dla wielu innych, bo człowiek posiadający środki urządzenia sobie życia jak chce, nie staje się niewolnikiem okoliczności, i nie tylko życiu temu może otworzyć drogi istnienia szersze, własnowolnie obrane, ale i bliżnim swoim rękę pomocną podać jest zdolnym.

Być dobrym bogaczem ewangelicznym to zatem szczęście i razem enota. Lubbock daje może zbyt wielką wagę tej sile, którą wywiera pieniąż, ale biorąc ludzi na ogół, ma on w zasadzie racyą, bo tylko najwytrwalsza wola, najwznieślejczy umysł zdolnym jest odtrącić od siebie to, co przynosi życiu wygody i spokojne istnienia używanie, aby stale dążyć w stronę wznieśłego ideału człowieka, podniesionego po nad to wszystko, co przedstawia nam gładką, dobrze wyrównaną drogę pielgrzymki naszej przez życie. Książka Lubbocka wywoła niezmierną ilość odpowiedzi, i to już jest zasługą jej niemałą, a oglądając się w koło siebie dodać należy, że potrzeba tu więcej—więcej głosów takich, któreby umiały tehaąć w pierś ludzi jakąś wznieślejszą ideę życia. Nie jest to rzeczą łatwą, tak tu, jak wszędzie, przecież przeraziła nie tylko mnie jednego statystyka samobójstw po-



dana przez czasopismo poważne „British Medical Journal“. W 1881 r. było tu 1.955 wypadków zadanej sobie śmierci, to jest zginęło na nią 75 osób na milion mieszkańców i przez dwa następne lata rzecz trzymała się mniej więcej w tej mierze, lecz od 1884 r. zaczyna ona wzrastać stale i w 1888 r. już jest ich tu 2.308, w 1891 i 1892 r. procent samobójstw doszedł 55 — 88, a mniejsza lub większa ich liczba odpowiada zawsze mniej więcej falowaniu ruchu przemysłowego i handlowego. Zawiedzione nadzieje spodziewanych zysków, bankructwa są główną tych okropności przyczyną, trzecie miejsce zajmują samobójstwa z miłości nieodwzajemnionej, czwarte z rozmaitych odmian obłędu.

Do okrumyńskich form śmierci w państwie Wielkiej Brytanii należy w koloniach jej pożarcie przez dzikie zwierzęta. W Indjach angielskich ukąszenie przez jadowite węże stało się w przeciągu 1893 r. przyczyną śmierci 18.540 ludzi; po węzach najniebezpieczniejszym wrogiem człowieka są tam tygrysy, których łupem stało się w Bengalu i Aszsum 1.000 ludzi, 20.000 sztuk bydła, a gdy doliczy się do tego ofiary krwiożerczości lampartów, hyen, niedźwiedzi i wilków, cyfry przerażać mogą. Zwierząt domowych pożarły zwierzęta dzikie w przeciągu zeszłego roku 90.253 sztuk, a jest to więcej o 9.060 niż w roku poprzednim, co wykazuje, że zwierzęta dzikie stawiają tam opór rozgospodarowaniu się człowieka, który niemniej posuwa się w głąb puszczy leśnych, nie licząc ofiar, których kości znaczą gościniec przestrzeni zdobywanych przez białego człowieka. Rząd angielski, przeznaczył 117.437 rupii na nagrody dla łowców tak węży, jak i zwierząt dzikich, których w roku wymienionych zabito razem 15.309, a to: 1.267 tygrysów, 4.088 lampartów obok 117.020 wężów.

W londyńskim ogrodzie zoologicznym zdarzył się w tych dniach wypadek, który może być przyczynkiem do fizjologii tych gadów. W wielkiej klatce szklanej trzymano dwóch ogromnej wielkości węży boa sprowadzonych świeżo z Indji, jeden długi na stóp dziewięć, gruby sześć cali, obydwóch karmiono drobiem rozmaitego gatunku a między tem i gołębiami, lecz gdy raz wpuszczono im do klatki dwa gołębie, pozostała między nimi zacięta walka i waży większy połknął mniejszego. Ale nie zdołał wciągnąć go w siebie całkowicie, konsumował go więc powoli, najmniej dziesięć godzin, ale jak twierdzą zoologowie tutejsi funkcja trawienia potrwa w cztery miesiące, na czem zarząd ogrodu wychodzi dobrze, bo tłumy ludzi cisną się, aby patrzeć jak waży leży nieruchomy i nawet książę Walii był jednym z tych ciekawych.

Dzienniki poważniejsze, a *Times* między niemi, nie są bynajmniej zadowolone z tego, bo nie jest to wcale zamilowanie badań zoologii, lecz tylko pragnienie jakiegoś widowiska drażniącego nerwy, co nigdy nie wychodzi na moralny pożytek człowieka, a dodać trzeba ze smutkiem, że przy takim nastroju smaku publicznego zniżyć się musi i poziom przedstawień teatralnych, to też sezon rozpoczął się niemal w ogóle od sztuk tego rodzaju, nawet w teatrach przeznaczonych dla wyższych sfer publiczności. Teatr Adelphi, należący do tego rzędu, przedstawił czteroaktową melodramę: „Karta przeznaczenia,“ gdzie kradzież, zabójstwa, stanowią treść pełną wstrząsających nerwami wrażeń; szczęśliwym wyjątkiem jest sztuka napisana przez najpierwszego tu dramaturga, S. Grundy, który umiając patrzeć głębiej w życie społeczeństwa wziął pod uwagę przeobrażenie, jakie wobec nowoczesnych pojęć emancypacyjnych przechodzi kobieta. Czy posuną ją one naprzód, uczynią wyższą, podnosząc siły umysłu i serca? to pytanie, na które zapragnął dać odpowiedź w komedji „Nowa kobieta,“ przedstawiając jedną z propagatorek takich praw kobiety, które by jej nie krępowały przez żadne względy poboczne w obowiązkach wszech ludzkich, to jest w rozwijaniu wszelkich sił, jakimi obdarzyła człowieka natura. O podziale pracy między mężczyznę a kobietą mowy tu nie ma, bo autor nie pyta bynajmniej, kto będzie spełniał to, co dotychczas przypadało na dział pracy niewieściej? Czy zapomina o tem, czy po prostu odtrąca te rzeczy samowolnie i bezmyślnie? to pytanie, które przy kwestji wyman-

cypowania się kobiety z dotychczasowej jej pracy pominięciem snadź przez niego zostało.

Nowa kobieta pragnie być w sztuce Sydneya Grundy nauczycielką i kierowniczką nowych dążeń kobiety — chce rzucić promień światła na tę sprawę i pisze *Etykę małżeństwa*, przeciw przyzywa tu sobie do pomocy mężczyznę — młodzieńca, który jeszcze nie skończył studiów uniwersyteckich, a którego pragnie zarazem uczynić wielbicielem swoim, nie pytając, zali to należy do roli kobiety wyzwolonej spod wpływu mężczyzny? Młody, niedoświadczony łapie się on zrazu w sidła; imponuje mu teoria M-rs Sylvester, rozwijania wszystkich sił, danych przez naturę człowiekowi, ale prędko uczuwa w tem wszystkim co go otacza niesmak i oczy jego zwracają się na łagodną, wdzięczną w prostocie swojej dziewczynę wieśniaczkę, córkę farmera, dla której w końcu uczuwa miłość i żeni się z nią.

Czy to dobrane stadło przeciw? Czy kobieta której umysł nierozwinięty przez wykształcenie zdolnym nie jest odpowiadać jego umysłowi tak, aby zrozumieć się mogli w poglądach na świat i życie, może mu się stać prawdziwą życia tego towarzyszką? Po pewnym czasie wspólnie dzielonego życia młody małżonek zniechęca się do żony, bo czuje pewną próżnię w ich stosunku do siebie i ona biedna poznaje to; odczuwa instynktownie, że aby serca i dusze mogły się zespolić prawdziwie, potrzeba, aby się rozumiały i umysł, więc szlachetną czyni ofiarę z miłości niesamolubnej. Chcąc nie zagradzać mężowi drogi do szczęścia, wraca do chaty ojcowskiej, aby tam w milczeniu cierpieć i tęsknić do silnie kochanego męża, ale i w piersi jego wytworzyła się próżnia bolesna, czuje, że w sercu tej kobiety jest więcej skarbów prawdziwego uczucia, niż we wszystkich propagatorkach praw niepodległości kobiecej i zadaje sobie pytanie: czy jest jakakolwiek istota ludzka, któraby bez grzechu i winy niepodległa była w obec stosunków życia ludzkiego?

Sztuka ta, która jest satyrą w formie scenicznej, wywołała mnóstwo uwag, które ostatecznie zaznaczyły, że nikt rozsądny, którego umysł wykształcony pozwala mu patrzeć głębiej w życie, nie chce odtrącić kobiety od podnoszących człowieka korzyści wiedzy szerszej, więc szerszego pojęcia obowiązków swoich; ale podział pracy być musi i już natura sama go wytworzyła, dając kobiecie inne zdolności i skłonności, które, posilując się wzajemnie, wytwarzają harmonią taką, jaka powstaje gdy dwa głosy różnych odcieni, ale jednej skali śpiewają chórem. Ze cześć kobiety szlachetnej istniała wśród ludzkości od wieków, zanim emancypacja upominać się zaczęła o to, dowodzą fakta podane nam przez historję w oświetleniu czci i uznania kobiecości dostojnej. W północnej dzielnicy Londynu wznosi się wzgórze wysokie, zwane „Parliament Hill,“ otóż jeden z archeologów, tutejszych, John Foy, wykrył na podstawie starych pamiątek, iż jest to kopiec usypany rękami ludzkimi, tak jak mogiła Wandy i wzniesiony również na cześć kobiety, bohaterki królowej saksońskiej Brytonów, która w walce z legionami rzymskimi dowodziła hufcem rycerzy, broniących tu dostępu i śmierć w niej poniosła. Rozkopanie kopca potwierdziło prawdziwość podania, znaleziono bowiem szczątki, które tego dowiodły i w maju przyszłego roku, jak spodziewają się tu ludzie, stanie na miejscu oznaczonym posąg, odlany ze spżu według pomysłu rzeźbiarza Gregory i dżutem jego wykonany.

Koszta obliczono na 8.000 funtów sterlingów a dodać trzeba, że składki nadsyłane przez kobiety tak napływają, że zapewne pokryją koszt. Kobiety żądają obok tego, aby pomnik oddany im został przez miasto pod straż, którą zorganizują między sobą. Pomnik Baodicei otoczony zostanie kwieciami i zielonością roślin ozdobnych.

Henryk.

## Przyszłość ziemi.

(Odczyt w wyższej szkole normalnej nauczycielek w Fontenay aux Roses.)

Z programu szkół początkowych aż do czasów ostatnich wykreślone były wszelkie wiadomości z astronomii, a przeciw sztucznie chyba oddzielić by można ten dział wiedzy ludzkiej od właściwej wiedzy przyrodniczej. Ziemia, której opis, wraz z historją zamieszkujących ją istot, stanowi właśnie treść nauki o przyrodzie, nie jest bynajmniej ciałem wyosobnionem i jedynem w naturze, ale ma podobne sobie w przestworach podniebnych, a prawa rządzące niemi, dobrze już znane, pozwalają twierdzić, że przechodziły one wiele przeobrażeń, tak jak rośliny i zwierzęta. Każde z tych ciał niebieskich miało swój początek, każde mieć będzie koniec, obserwacya rozjaśnia rozmaite fazy tej ewolucji, bezpośrednio zaś zastosowanie tych spostrzeżeń do historii ziemi, a zatem i do historii całej ludzkości, pozwala nam zrozumieć wielkie zajęcia, jakie przedmiot ten wzbudzić może.

Sposób tworzenia się ziemi był przedmiotem badań dla największych umysłów, a słynny francuz, Laplace, w nieśmiertelnym swem dziele, dającym *Wykład systemu świata*, wypowiedział pod tym względem ogólnie dziś przyjętą hipotezę. Przyjmuje on to, że na początku materya, która tworzy teraz słońce i planety, obracając się dokoła niego, tworzyła olbrzymi obłok — mgławicę. Mgławica ta, obracając się dokoła samej siebie i skupiając się koło ośrodka swego, wydzielała stopniowo pierścienie, które przeobraziły się potem w kule, a każda utworzyła planetę. Ziemia nie jest niczem innym, jak tylko jednym z produktów tego mechanizmu.

Nie zatrzymując się nad tem dłużej, trzeba powiedzieć, że różne te planety nie potworzyły się jednocześnie: najstarszą, najwięcej oddaloną od słońca jest Neptun, najpóźniej wytworzona, najbliższą nas, Merkury. Musiało upłynąć tysiące wieków pomiędzy stopniowemi narodzinami tych wszystkich dzieci słońca, nazwy ich są: Neptun, Uran, Saturn, Jowisz, Mars, Ziemia, Wenus i Merkury. Widoczną jest to rzeczą, iż tesame siły, które każdemu z tych ciał nadały istnienie i charakter właściwy, stanowią również o jego kolejnych przemianach. Pograżone w lodowej przestrzeni tracą one pierwotne swe ciepło z szybkością, którą określono na podstawie badań. Dla ciała niebieskiego wielkości ziemi podają badacze utratę jednego stopnia temperatury w ciągu czterech milionów lat!

Pod wpływem tego oziębienia tworzy się w kierunku obwodu planety mocna kora, która grubieje i mieszczać się jak pancerz między bardzo gorącym jądrem głębokiego wnętrza i oceanem gazowym, który otacza kulę, staje się widownią najrozmaitszych zjawisk. Porozdzierana ze wszech stron wskutek wstrząśnień, których przyczyny dobrze są znane, oblewana co chwila przez ciała stopione, które spajają znowu świeżo rozszczerzone części kuli, znosi ona działanie mechaniczne skomplikowane jeszcze przez zmiany w rozmiarach skał, kurczących się, krystalizujących i wysychających. Wszystkie skały, nawet najściślej, zawierają w sobie wodę źródlaną. Nawodnienie, przenikające na głębokość wszystkich warstw, których temperatura zniżyła się dostatecznie, wymaga od wód zewnętrznych wydatku, którego nie zrównoważyć nie może i który z konieczności doprowadza z czasem do zmniejszenia się oceanów, a powiększenia powierzchni lądowych. Jest to już czemś więcej niż bezpośrednia obserwacya dała geologii porównawczej, bo pewność już, że fakt ten istnieje. Podczas kiedy na ziemi lądy stanowią zaledwie czwartą część całej powierzchni, na planecie Mars, starszej bo leżącej dalej od słońca, na której przeto pochłanianie oceanów trwało dłużej, zajmują może połowę rozległości tej samej przestrzeni, co powierzchnia ziemi. Obok tego mapy mórz pozwalają rozpoznać jaką byłaby linia brzegowa, gdyby oceany ziemi pozbawione były takiej ilości wody, jaka już



zniknęła na Marsie. Stwierdzają one, że kształt tej linii odzwierciedlałby charakterystyczną cechę, właściwej geografii Marsa.

Ale uwodnieniu skał towarzyszy pochłanianie jednoczesne części atmosfery. Niezliczone rozpadliny powierzchni ziemi, skoro tylko przestają być kanałami, przeprowadzającymi wycieki z wnętrza, poczynają pochłaniać materiały gazowe, których dostarcza atmosfera. Zresztą powietrze zająć musi miejsce wody, która wyparowała, i pokład gazu zmniejsza się jednocześnie z wysychaniem morza. Gdy wpatrzymy się w te ciała niebieskie, które towarzyszą ziemi, wirujące dokoła słońca, jasno występuje prawda tego przypuszczenia: z jednej strony ukazuje nam się stary Mars, posiadający dziś już tylko ciekłą warstwę atmosfery z chmurami, o tyle cienkimi, że nie przeszkadzają w badaniu geografii planety, z drugiej widzimy młodą Venus, otoczoną powietrznym oceanem daleko gęstszy od naszego.

Ostatecznie tedy jednym z bezpośrednich następstw postępów w ewolucji gwiazd będzie zużycie zbiorników płynnych, które otaczają planety.

Podobne odkrycie niezmiernie jest dla nas groźnym, możemy się przeto zapytać: czy ocean i atmosfera nasza będą dość bogate, by wystarczyć na potrzeby przyszłego uwarstwiania się skał? Pod tym względem rachunek jest bardzo łatwy. Dziś istniejąca kora ziemna jest tak cienką, że jako kurze otoczone jest względnie silniejszą osłoną. Wiadomo, że średnio kora ziemi zawiera 1/3% wody źródlanej. Jeżeli przypuścimy stwardnienie i nawodnienie dochodzące aż do środka, potrzebną byłaby ilość wody przenosząca znacznie zawartość mórz naszych.

Do tegosamego rezultatu doprowadza nas badanie atmosfery.

Wynika ztąd bezsprzecznie, że o wiele pierwiej zanim ziemia straci swoje pierwotne ciepło, stałe części ziemi wypiją ocean cały i wciągnie w siebie całą atmosferę.

Księżyc, nasz własny satelita, który dzięki mniejszej swej objętości doszedł o wiele później niż ziemia do znacznego stopnia oziębienia, jest dziś już w tym okresie, w którym wszystkie części płynne zaabsorbowane, wchłonięte zostały przez twardą skorupę. Rzeczy zaszyły nawet dalej. Olbrzymie otwory, które tworzą na księżycu głębiny niezbadane, dowodzą, że wciąż pękające masy mineralne nie mają już ciał stałych dla zapelnienia otworów. Już teraz księżyc nie jest prawie całością spójną; składa się on z nagromadzenia olbrzymich skał, z których każda stanowi odrębne ciało, w dalszym ciągu będą one ciążyły ku sobie przez siłę rzeczy konieczną, a raczej, wyrażając się ściślej, na zasadzie praw mechaniki niebieskiej.

Że na ziemi potworzą się kiedyś szczeliny podobne do szpar, które porały powierzchnią księżyca to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, a chociaż nastąpi to nieprędko i nie za naszego pokolenia ludzi, niemniej rzecz to jest zajmująca nas wskutek tego przywileju człowieka, że pragnienie możliwej wszechwiedzy jest mu wrodzonym. Cykl ewolucji gwiazdowej nie został przecież ukończonym z dojściem księżyca do stanu, w jakim się on dziś znajduje. Jest to już śmierć, ale po niej, jak w ciele organicznym, nastąpić musi rozkład.

Poza orbitą Marsa, a jeszcze przed orbitą Jowisza, krążą dokoła słońca ciała, których istnienie odkrywa nam dzień każdy. W obserwatoriach naliczono ich już dotąd trzysta pięćdziesiąt! Są to asteroidy, lub planety drobnowidzowe, mała ich objętość jest w widocznej sprzeczności

z rozmiarami innych ciał planetarnych, a drogi ich, przecinające się wzajemnie, zdają się być w zupełnej sprzeczności z równoległością dróg innych wędrowców wśród przestrzeni niebieskich. Nagłe a ogromne zmiany ich blasku wytlómaczyć można tylko przez kształt ich nieprawidłowy i kańciasty, zupełnie odrębny od kulistości ich wielkich towarzyszy wśród błękitów; wreszcie najpilniejsze poszukiwania nie mogły odkryć na nich śladu atmosfery. Czyż poznanie cech tak wyjątkowych nie skłania nas do upatrywania w grupie asteroidów resztek jakiejś rozczłonkowanej gwiazdy, starszej od księżyca, która porzuciła ułamki ciała swego wzdłuż drogi, przebieganej uprzednio?

Pod tym względem dodać należy podwójne wyjaśnienie: raz co do miejsca zajmowanego na niebie przez tę niegdyś spójną gwiazdę, dziś rozbitą na planetki i co do mechanizmu, jaki działał przy odłączaniu się jej części, gdy już raz rozpekła się tak, jak kiedyś popęka księżyc.

Co do pierwszego punktu, to ciało, które nas zajmuje, krążące dalej od słońca niż Mars, było zdaniem Laplace'a, starszej od niego formacji, i wskutek tego w ewolucji gwiazdowej postąpiło dalej. Trudno jest rozjaśnić okoliczność tę, że Jowisz położony jeszcze dalej, a więc dawniejszy, nie rozbił się i zachowuje dotąd gęstą atmosferę, a właściwość tę podziela on ze wszystkimi wyższymi planetami. Sprzeczność jest tu przeciwieństwo tylko pozorna. Wynikając ze zgęszczenia części najbardziej zewnętrznych pierwotnej mgławicy, wyższe planety nie zdają się mieć takich substancji, które mogłyby skrzepnąć przez ochłodzenie, a jeżeli je mają, to w bardzo małej ilości. Wiecznie w stanie płynnym, a nawet, jak planety najwięcej naprzód wysunięte, w gazowym, nie mogłyby one skurczyć się aż do rozpadnięcia się w proch, na czym kończy się historia gwiazd krzepnących.

Co do drugiej kwestyi, to dość nam przypomnieć sobie, że byliśmy świadkami rozpadnięcia się wielu komet na cząstki, pozostawione wzdłuż ich drogi niebieskiej, które, grawitując do naszej atmosfery, dają początek zjawisku znanemu pod nazwą gwiazd spadających. Niema przeto żadnej racyi, by zaprzeczyć możliwości podobnego rozbitcia, jako przyczyny z powodu której planety teleskopowe rozsypały się po niebie.

Jakiegokolwiek byłyby właściwości tych przeobrażeń, uważać trzeba meteority, czyli kamienie spadające z nieba, jako naturalne dopełnienie stanów gwiazdowych jakie przedstawia Słońce, Venus, Ziemia, Mars, Księżyc i Asteroidy.

Dla tego, kto poprzednie fakta uznaje za prawdziwe, spadek meteorytów nie będzie wypadkowym, lecz jest raczej mechanicznym, wskutek czego materia gwiazd martwych przenosi się do tych, które jeszcze istnieją, i w taki sposób przedstawia nam się w umyśle ostatni rozdział cudownej historii, której początek opowiedział nam Laplace. Przedstawiają tu jeszcze umysłowi wspanialszy przykład harmonii przyrodzonej deszcze meteorytów, które spadając na słońce jako pyły i okruchy, oddają pod formą mechaniczną gwiazdzie centralnej naszego systemu słonecznego olbrzymią ilość energii cieplikowej i świetlanej, która promienieje bezustanku we wszystkich kierunkach przestrzeni, i która stanowi samo życie świata.

Ale wśród wszystkich następstw studyów, któreśmy przeprowadzili, jedno zająć-by nas powinno specjalnie. Wszystko, co opowiedzianem było o ewolucji gwiazdowej, odnosi się również do ziemi; nadejdzie przeto dzień, w którym, utraciwszy swoją atmosferę i swój ocean, porwana na

wszystkie strony przez szczeliny, rozbije się ona na odłamy meteorytów.

O wiele wcześniej jeszcze istoty żyjące, a zwłaszcza ludzie, pozbawieni warunków niezbędnych dla swego istnienia, wyginą stopniowo. Zauważmy zresztą, że prawo ewolucji gwiazdowej, odnoszące się również do słońca, sprowadzi wreszcie moment, w którym świetlana gwiazda przestanie oświetlać planety; gdyby więc nie były już rozbite, stałyby się przez sam brak jej ożywczych promieni niemożliwymi do zamieszkania.

Znakomity a przedwcześnie zgasły dla nauki uczony Tronessart, zastanawiając się nad temi kwestyami opisał przyszłość, która nas czeka, zaznaczając: jaki według jego zdania byłby najlepszym koniec istnienia ludzkości: Kiedyś—powiada on—ten błyszczący świecznik, źródło, z którego czerpiemy światło, ciepło, ruch i życie ziemi, zgaśnie, a wtedy co się stanie z nami biednymi, śmiertelnikami, mówimy, bo jakże nie łączyć się z losem naszych następców? Przeżywszy czas jakiś życiem zanikającym, prowadząc smutną egzystencją Lapończyków, Eskimów, Samojeatów, cofając się powolnie wstecz przez wszystkie stopnie naszego rozwoju fizycznego, intelektualnego i moralnego, zginąć musimy z nędzy, głodu i zimna! Lepszą byłaby tysiąc razy gwałtowna katastrofa, która uniosłaby ludzkość w pełni cywilizacji, pozwalającej powtórzyć druzgocącej ją siłę przyrody piękne wyrażenie Pascala, że jest jeszcze moc wyższa od niej. Wszystko byłoby lepszym, niż ten nędzny koniec, wśród którego myśl ludzka przygaśnie zapewne jeszcze wcześniej, niż owe nędzne resztki materialnego życia! Ale podobnej katastrofy nauka nie przewiduje, przypuszcza zaś wygaśnięcie słońca“.

A przecież ten koniec tak bardzo wstrętny dla Tronessarta, jeżeli czeka rodzaj ludzki, będzie tylko dowodem, że prawo tu rządzące jest tem samem, które rządzi jednostkami. I dla czegożby zastosowane do całej ludzkości miało nam być tak przykrem, gdy zgadzamy się z niem względem jednostki, jako z prawem natury? Jeżeli widok człowieka obciążonego latami, który stopniowo schodzi po pochyłości życia, nie przygnębia nas, to z powodu, iż wiemy, że to powolne zanikanie jest tylko pozornem i chwilowem, że odnosi się tylko do czynników drugorzędnych, przejściowych, zewnętrznych, których zakłócenie daje nam uludę chwilowego zaciemnienia tego, co jest treścią samego człowieka. Wprowadzony przez śmierć w inne istnienie, odnajdzie on tam cały blask, którym świecił w chwili naszej apoteozy moralnej, stając się punktem wyjścia dla nowego życia. Czyż nie brak nam podobnych pojęć, namysł o losach ludzkości społeczeństwa przejściowego istot śmiertelnych, powołanych do spełnienia wspólnie wielkiej misji na ziemi, która polega na uwydatnieniu przewagi umysłu nad prawami fizycznymi i fizyologicznymi? Jeżeli ludzkość rozłoży się po spełnieniu tej funkcji, nastąpi to zapewne dla wytworzenia gdzieindziej istnienia nowego, które będzie miało nowe, wyższe zadania, gdyż nie umierają składające ją cząstki—nie umiera duch!.

Nie podzielamy przeto bynajmniej niepokojów tak wymownie wypowiedzianych przez Tronessarta. Jego żale nie wydają nam się bynajmniej uzasadnionemi. Skoro ludzkość zostanie w końcu wywyższoną ponad posterunek, powierzony jej tu na ziemi, czyż to nie rzecz najważniejsza?

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się powieść p. t. Kochająca małżonka, przez autorkę powieści „Molly Bawn“ przekład z angielskiego, ark. 1.

**TREŚĆ:** Pogawędka, przez ?? — Smutna. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna, przez W. N.—List z Angli, przez Henryka.—Przyszłość ziemi.

**Dodatek obejmuje:** Kochająca małżonka przez autorkę powieści „Molly Bawn“ przekład z angielskiego. Arkusz 1.—Przegląd mód.—18 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.